

Rozdział 12

Jezu Chryste! Wojna!

Aleksandra Krystosiaka, wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu, w dniu imienin o północy Służba Bezpieczeństwa wywiozła w nieznane.

Państwo Krystosiakowie mieszkają na osiedlu stoczniowych domków jednorodzinnych Warszewo. Nie mają telefonu. Trzeba zawiadomić Związek.

Marlena, przybrana córka Krystosiaka i jej narzeczony wybiegli z domu.

Do Jagielskiego, ojca ich przyjaciela Tibora.

Na ulicę Tatrzańską latem, znajomymi skrótami, godzina drogi. Teraz śnieg po kolana. Naprzód. Szosą. Może złapią po drodze taksówkę. W taką zadymkę, któż wychyli nosa? Wciąż pada, gęsto, dużymi mokrymi płatami. Szybciej. Marlena zapomniała, że na nogach ma "szpilki". Ciemno. Podmuchy wiatru ze śniegiem utrudniają oddech.

Pukanie wybija mnie ze snu. Otwieram drzwi. To Marlena i Włodek.

- Ojciec aresztowany!

Patrzę na nich zdumiony. Krystosiaka aresztowali, to niemożliwe.

Przytomnieję i wpuszczam ich do środka. Ociekają mokrym śniegiem, zdejmują kurtki, opowiadają. Magdalena nastawia herbatę. Trzeba natychmiast powiadomić Zimowskiego.

Podnoszę słuchawkę, głucha cisza. Cholera! Zepsuty, często, się to zdarza. Ubieram się pośpiesznie i pędzę do państwa Barańskich. Mieszkają od nas sto metrów. Pukam natarczywie.

Nareszcie.

- Sprawa bardzo pilna, a telefon u nas zepsuty. Znamy się dobrze, a więc wiedzą, że nie budzę ich bez powodu. Telefon głuchy! Trzymam słuchawkę w ręku i patrzę na nich, półprzytomnych, zaspanych.

- To wojna, to stan wyjątkowy. - Mówię nienaturalnym głosem. Błyskawicznie kojarzę fakty: nocne aresztowanie Aleksandra, głuche telefony, opowieści Sychuta o przemieszczaniu wojsk.

- To stan wyjątkowy. - Powtarzam z rozpaczą w głosie.

- Ależ my dzisiaj wyjeżdżamy do Danii promem. Mamy bilety!

- To nie pojedziecie państwo. Na pewno zamknęli granice. Upewnijcie się w Biurze Pasażerskim

Do domu.

- Stan wyjątkowy. - Krzyczę od progu. - Telefony nieczynne. Muszę uciekać! Dopadam do szafy. Szukam ciepłych rzeczy.

Jezus, Maria! Czy zdążę. Może są już na dole?! Czmychać tak jak stoję? Prędejj, prędejj. Przebieram się w najcieplejsze rzeczy.

Wołam do Magdaleny: - Wrzuc do torby kawę, herbatę, suchą kiełbasę, co tam masz. Kalesony, ciepłe skarpetki, kilka par. Koszule flanelowe. Nie dopięty, z nie zasznurowanymi butami. To później. Jak najprędzej z domu! Całuję Magdaleny, Tomasza, który też wstał. Wybiegając, wołam:

- Dam znać o sobie, czekajcie na wiadomość!

Lustruję ulicę. Cicho, pusto. Odskoczyć od domu. Przebiegłem na drugą stronę i chowam się za stosem pustych skrzynek stojących przy „Samie”. Nie ma żadnego ruchu. Sznuruję buty, zapinam się starannie. Teraz mogę ruszyć pieszo do Stoczni. Trwa tam pogotowie strajkowe.

Jeżeli ich nie zaskoczyli, ktoś musi dyżurować. Przypominam sobie, że strajkuje Akademia Rolnicza. To po drodze, dwa kilometry.

Do szkoły. Którędy? Ulica Arkońska przetarta, oświetlona. Na pewno nadzieję się na patrole wojskowe. Przez park. Znam go jak własną kieszeń. Drogi znikły pod głębią śniegu, a więc na przelaj, przed siebie. Zbiegam w dół Tatrzańską. Przebiegam ulicę Arkońską i zaszywam się w krzakach gdzie jestem względnie bezpieczny.

Szalone napięcie wywołane szokiem, nagle ustępuje. Chłodny pot spływa mi po plecach, nogi uginają się. Jestem potwornie zmęczony, czuję się potwornie samotny. To bezsens tak stać tutaj. Może przejdę jeszcze sto metrów, może kilometr, może dojdę do Stoczni? Być może są to ostatnie chwile wolności, może ostatnie chwile życia? Czuję się jak na tonącym statku. Ratować się! Skoczyć za burtę? W rozszałały żywioł wiatru i fal, w lodowatą wodę?

Nie boję się, nie mam uczucia strachu. Może zgrywam się sam przed sobą? Tylko okropna rozpacz, wewnętrzny skowyt, który zaraz wybuchnie rozdzierającym gardło wyciem - nieeee! Płacę. Nad sobą, nad swoją bezsilnością, nad bezsilnością minionych miesięcy. To musiało się tak skończyć.

Uspokajam się, przede mną biel, ciemne linie drzew i krzewów. Ruszam, zmęczenie minęło. Narastająca wściekłość pomaga wyciągać nogi z głębokiego prawie po kolana śniegu. Zostawiam za sobą szeroki ślad. Łatwo mnie wybrać jak szczupaka z saku. Nikt mnie nie goni. Park jest martwy. Szybciej, naprzód. Rozpinam kozuch, zdejmuję czapkę. Ostre powietrze chłodzi rozgrzane ciało. Jeszcze kilometr. A jak Akademia zajęta? To Stocznia. A jak Stocznia? To koniec. Trzeba przeczekać. U kogo?

Ogarnia mnie śmiech. Tak się dać zaskoczyć! Wystrychnęli nas na dudka. Nie to niemożliwe, to nieprawda. Grzęznę w śniegu jak idiota. A może Krystosiak miał coś z nimi na pieńku, a telefony nieczynne bo klęska opadów?

Przystaję. Cisza. Nie słychać strzałów, warkotu czołgów, ruchu ciężkich samochodów. Po lewej ulica Arkońska, po prawej Aleja Wojska Polskiego, główny trakt z poligonów i koszar do miasta. Może się jednak pomyliłem?

Podrywam się do biegu. Już niedaleko, Wyczuwam twardy grunt, to alejka. Po obu stronach żywopłot, więc tak mocno nie nawiało. Jestem u celu. Z lewej Akademia, a z prawej jednostka wojskowa. Przeciskam się przez gęste krzaki. Od strony koszar żadnego ruchu, ulica pusta. Obserwuję budynek szkoły. Gdzieniedzie światła w oknach, na dachu zauważam dwie sylwetki. To zapewne warta studencka lustruje okolicę. Nie widzę żadnych posterunków wojskowych, żadnych pojazdów. Decyduję się. Wyskakuję z krzaków. Przebiegam oświetlone skrzyżowanie i jestem już w cieniu głównego wejścia. Studenci na dachu obserwują mnie.

- Czy u was wszystko w porządku? – Pytam.

Odpowiadają spokojnie, że tak.

Wchodzę do środka.

- Jestem Krzysztof Jagielski, członek Zarządu Regionu. Pokazuję legitymację.- Proszę natychmiast zaprowadzić mnie do Komitetu Strajkowego.

Widok zmęczonego, porozpinanego, mokrego i ledwie wymawiającego słowa, w których brzmi nuta hysterii, stawia dyżurowącego na nogi. Półmrok na korytarzu. Strajkujący studenci śpią. W pokoju parę osób pije kawę. Są zaskoczeni, patrzą na mnie jak na raroga. Znam przewodniczącego, ale nie ma go tutaj.

- Natychmiast zawołajcie Roberta Górskiego. Przedstawiam się.

- Nastawcie radio, Warszawę, sprawdźcie telefon do miasta. Mój głos brzmi rozkazująco, ostro. Telefon milczy, radio nadaje muzykę klasyczną. Wchodzi przewodniczący. Witamy się.

- Proszę państwa. Stan wyjątkowy. O północy aresztowano Krystosiaka, telefony zerwane. Wczorajsze teleksy donosiły o ruchach wojsk. Skończyła się zabawa. Mamy wojnę. NSZZ "Solidarność", zgodnie ze statutem, odpowiada strajkiem generalnym. Proszę mi się podporządkować. Od tej chwili ja tutaj decyduję. Oczywiście jestem na waszym terenie, możecie nie zgodzić się.

Są przejęci, zaskoczeni, łzy w oczach. Jestem też bliski załamania. Biorę się w karby. Moje wzruszenie jedna mi ich sympatię. Zrzucam kożuch i padam na krzesło.

- Pytanie - mówię dalej - czy to zamach wewnętrzny, czy interwencja. Jeśli to drugie, to będziemy mieli NRD - owców na karku. Byłoby to najgorsze z najgorszych.

Ktoś gorączkowo szuka w radio jakichkolwiek wiadomości. Wszędzie muzyka.

Przełykam kawę, parzy podniebienie.

- Proszę zwołać cały Komitet Strajkowy. Nie budzić studentów, nie informować o wojnie. Żadnej paniki.

Mogę chwile odpocząć.

Ekran telewizora jasny, bez obrazu. Są już wszyscy. Powtarzam ponownie moją ocenę sytuacji. Niech młodzież śpi. Strajkujemy dalej. Nie mamy informacji. Nie podano żadnych komunikatów. Nie ma więc godziny policyjnej. Musimy zorientować się, co się stało. Patrzę na zegarek. Dochodzi czwarta.

- Wielu ludzi wraca z imienin, niektórzy wybierają się już do pracy. Musi być ruch na ulicach. Potrzebuję osiem, dziesięć par, chłopców i dziewczyn. Mają pozorować zakochanych i przejść się po mieście, ostrzec lub ściągnąć tutaj działaczy Związku. Po ich powrocie zadecydujemy, co dalej. Proszę wzmocnić warty. Stała obserwacja terenu. W razie podejrzanego ruchu wojska, czy milicji, natychmiast meldować. Komitet Strajkowy pod ręką. Zgłaszają się studenci.

Pouczam ich, jak mają się zachowywać, gdzie dotrzeć, kogo zawiadomić. Gdy zostaną zatrzymani, mają powiedzieć, że wracają do domu z ubawu. Udawać, że nic nie wiedzą o stanie wojennym. Zalecam ostrożność, szczególnie przy zawiadamianiu osób. W mieszkaniach może już być SB. Jacyś podejrzeni osobnicy przed domem, na klatce schodowej, odstąpić od wykonania zadania. Za godzinę muszą wrócić, a ci ze Stoczni za dwie.

Rozsyłam studentów w kierunku ważniejszych zakładów przemysłowych, punktów wojskowych i milicyjnych.

Przedwczoraj dałem sekretarce listę adresów członków Zarządu Regionu. Po wielu naleganiach obiecała przepisać i rozdać. Trzęsie mnie ze wściekłości na tę naszą niefrasobliwość, lekkomyślność. Parę miesięcy temu opracowałem bardzo dokładne propozycje szybkiej informacji na wypadek takiej sytuacji, jaką mamy dzisiaj. Nie pamiętam ulic, numerów. Tylu młodych ludzi, gotowych pomóc. Nie mogę ich wykorzystać. Ukazują się słabe strony Związku. Jakie będą później?

Posyłam po Janinę Trojanowską i Kazimierza Nowotarskiego. Niedaleko, w Szpitalu Arkońskim, dyżuruje może Małgosia Malinowska, może dr Michał Kurowski? Wysyłam tam umyślnego. Proszę by ściągnięto do nas Rektora Mariana Kubasiewicza. To porządny, człowiek. Jest po naszej stronie.

W pokoju gwar przyciszonych rozmów. Dym papierosowy i zapach kawy, to chyba nieodłączne atrybuty naszej rewolucji. Chwila spokoju.

Możliwe, że zaraz nas otoczą. W Szczecinie strajkuje tylko Akademia Rolnicza. Będą chcieli wygasić to zapalone ognisko. Nie mamy żadnej szansy. Wstyd mi za tę bezsilność, własną i Związku.

Aresztują mnie? Co dalej, nie wiem. Myślę o najgorszym. Pod ścianę, albo Sybir. Jak Węgrzy w 1956 roku, nasi powstańcy z 1830, 1863, Katyń, milionowa zsyłka mieszkańców ziem wschodnich po zajęciu przez Sowieców naszych ziem ojczystych.

Przypominają się zebrania z pracownikami w Polskich Liniach Oceanicznych: *Mnie rozwalą. Od was jednak zależy, czy na to pozwolicie. Czy pozwolą?*

Nadzieja, że mimo niedzieli ludzie ruszą do zakładów pracy. Tak wszystkich przygotowaliśmy. Zgodnie ze Statutem. Może jeszcze za wcześnie? Każdy lubi pospać w dzień świąteczny. Jak się cała Polska ruszy, to jest szansa. Zabraknie im wojska i kul. Cały naród, tylko tak. Będą ofiary. Bez nich nie ma wolności. Interwencja zewnętrzna? Nie, to nie jest agresja. Miasto pełne byłoby czołgów i wojska wschodnio niemieckiego. Martwi nie myślą.

Do pokoju wchodzi Małgosia Malinowska w służbowym uniformie pielęgniarki. Ściskam ją, cieszę się, że nie aresztowali jej, że ma dyżur. Karetką można dotrzeć wszędzie bezpiecznie. Nie miała pojęcia o stanie wyjątkowym. Proszę, by pojechała do Stoczni i po wiedziała, że jestem tutaj, i niech zaraz wraca.

Stocznia, to cała nadzieja. Damy odpór. Może jeszcze nie spacyfikowana?

Ach, jest Janina Trojanowska. Zmarznięta. Spory kawałek przebyła pieszo. Trzymam ją chwilę w objęciach. Wiemy, że minęły niezapomniane, wspaniałe dni, a teraz nadchodzą godziny próby.

Studenci wracają. Wszędzie spokój, ruch w mieście normalny. Trochę gwarno przy komisariatach MO i koszarach. Żadnych patroli wojskowych, żadnych pojazdów opancerzonych. Można poruszać się bez przeszkód. W zakładach pracy cisza. Nie widać robotników.

Godzina szósta. W telewizji zapowiadają wystąpienie generała. A więc nie myliłem się. Jaruzelski ogłasza wojnę Narodowi.

Denerwuję się, bowiem Małgosia nie wraca. Co się jej przydarzyło? Co w Stoczni?

Przyszedł Rektor. Czas na podjęcie decyzji.

Omawiam sytuację.

- Z pierwszych wiadomości radiostacji zagranicznych wynika, że nastąpiły masowe aresztowania, granice zamknięte, łączność telefoniczna przerwana. Generał wprowadził stan wojenny. Studenci i osoby przybyłe tutaj, potwierdzają, że w mieście spokój. Zwykły poranek niedzielny. Do zakładów nie przybyli robotnicy. Zapewne jeszcze za wcześnie. Może nadejdą później? Jedyne strajki, to u nas. Wcześniej czy później zainteresują się nami, użyją siły. Nie mamy żadnych szans na obronę. Być może w poniedziałek zakłady, Stocznia podejmą strajk generalny. Strajk tutaj trzeba zakończyć i rozejść się. Musicie sami zdecydować, czy wznowicie go ponownie, czy udacie się do Stoczni lub do innych zakładów pracy i tam pomożecie robotnikom. Pora obudzić studentów i zebrać ich w auli. Bez paniki.

Przewodniczący, członkowie Komitetu Strajkowego i Rektor są tego samego zdania. To jest klęska. Mógłbym zaproponować obronę. Barykady, opór czynny. Gołe pięści przeciw karabinom maszynowym, czołgom. Młodzież pójdzie do boju. To nie ulega wątpliwości. Ale przecież tutaj każda śmierć byłaby bez sensu. Należy ich ochraniać. Niech nas zastąpią. W pierwszej linii muszą się znaleźć tacy jak ja. Trzeba ofiarę śmierci złożyć w ich imieniu.

Zjawia się Przewodniczący. Nie mogę go poznać. Zgolił obfitą brodę. Proponuję, by zapasy żywności jakie tu nagromadzili, przenieść do Stoczni. Tam się na pewno przydadzą.

Aula już pełna. Atmosfera grozy, rozpacz, niepewności.

Przewodniczący wyjaśnia, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin i jakie są wnioski Komitetu Strajkowego. Należy strajk zakończyć. Proponuje głosowanie. Kto za? Większość.

Trzynastego grudnia 1981 roku kończy się strajk studentów Akademii Rolniczej.

Zabieram głos. Co powiedzieć? Jak pocieszyć, jak uspokoić? Jestem zmęczony, przybity, zdenerwowany. Z trudem rozpoznaję własne słowa.

-Jestem winny, że nie potrafiłem Was ochronić. Byłem jednym z tych, którzy kierowali Związkiem i wzięli za was odpowiedzialność. Czuję się winnym, że nie możecie studiować w spokoju, że po zakończeniu studiów opuścicie Polskę w poszukiwaniu lepszego chleba. To jest tragedia, że nie zostaniecie tutaj. "Solidarność" była nadzieją na pozostanie. Niech żyje Polska!

Przemawia Janina Trojanowska. Nie słucham jej. Myślami jestem gdzie indziej. Udać się teraz do Stoczni, czy przeczekać, schować się?

Młodzież opuszcza budynek. Bez przeszkód. Wojska i milicji nie widać. Z paroma osobami wychodzę bocznym wyjściem. Jest ze mną młoda Dziewczyna, studentka, która będzie łączniczką. Na ulicy żegnam się z Trojanowską. Idzie do Stoczni. Jak dotrze, powie, że przyjdę.

Znowu przez park, już nie na przełaj, alejami. Idziemy do Kapitana Żeglugi Wielkiej Zbigniewa Ihnatowicza. Pracuje z Magdaleną w jednym dziale Inwestycji Okrętowych. Znamy się bardzo dobrze, choć nie należy do sympatyków "Solidarności". Trochę to ryzykowne prosić go o gościnę. Może nie wyrzuci mnie za próg? U niego nie będą szukać uciekinierów Solidarności, będę bezpieczny. Łączniczka uda się do Stoczni. Poczekam na nią. Gdy wieści będą pomyślne, dołączę do kolegów.

Idziemy w kierunku ulicy Kochanowskiego, tuż u zbiegu z ulicą Wincentego Pola. Otwarta przestrzeń. Śnieg tutaj głębszy. Łączniczka idzie za mną moimi śladami. Przebiega obok mnie kapitan Żeglugi Wielkiej Zbyszek Sak. Codziennie uprawia jogging. Dba o sylwetkę i kondycję. Pozdrawiam go. Odpowiada. Nie wie, że ukrywam się. Życie toczy się dalej.

Kapitan Ihnatowicz odśnieża chodnik. Mówię wprost:

- Chcę się u Pana ukryć się na parę godzin. Może pan odmówić, nie będę miał pretensji. Sytuacja jest szczególna. On wie już, że jest stan wojenny, i wie jaką pozycję zajmuję w Związku. Prosi mnie do środka.

Przedstawiam mu Dziewczynę: - Ona jest ze mną. To łączniczka. Poczęstuje ją pan herbatą?

Zostaję sam w mieszkaniu. Dziewczyna udała się do Stoczni, a Kapitan na zakupy.

Leżę na skórzanej kanapie, potwornie zmęczony. Nie mogę usnąć. Po raz któryś wysłuchuję przemówienia generała. W prostej linii, przez park, mój dom. Nawet go stąd widać. Obok, dwa budynki dalej, Komenda MO. Najciemniej jest pod latarnią.

Łączniczka wraca. Czekają na mnie. Dziękuję jej za pomoc i odwagę. Proszę, by nazajutrz zawiadomiła także Magdalenę, że jestem w Stoczni. Nie znam jej imienia, nazwiska. Nie pytam, bo tak bezpieczniej.

Czekam na powrót Kapitana. Gdy wraca, zapewniam go, że nikt się nie dowie, iż byłem u niego. Łączniczka nie ma pojęcia kim on jest. Dziękuję za gościnę i wychodzę.

Kierunek - Wojska Polskiego, do tramwaju. Życie toczy się dalej. Dzieci saneczkują, wielu spacerowiczów z psami. Park się ożywił.

Koło mnie zatrzymuje się mały Fiat. Słyszę znajomy głos.

- Dokąd idziesz? - pyta Januszewski, uchylając drzwi. Obok siedzi jego syn.

Do Stoczni. - Odpowiadam.

- Siadaj, podwożę cię. To jeden z najbogatszych mieszkańców Szczecina. Sprzedaje buty. Człowiek szlachetny i wielkiej dobroci.

Po drodze opowiadam swoje przeżycia.

- Krzysztof. - Mówi Januszewski. - Zastanów się. Idziesz na stracenie. To już wszystko nie ma sensu. Masz żonę, dzieci. Odwożę cię do domu.

Wiem, że chciałby mi pomóc. Potrząsam głową.

- Nie, nie, nie mogę. Zwyczajnie nie mogę. Do Stoczni!

Proszę, by się zatrzymał w pewnym oddaleniu od bramy. Sporo ludzi. Mundurów nie widać. Żegnamy się serdecznie. Januszewski sięga po koc z tylnego siedzenia.

- Weź, przyda się. Trzymaj się chłopie. Ma łzy w oczach.

Ściemnia się. Przedemną szara ściana budynków Stoczni. Z lewej nagle ogniki świeczek. To na pomniku ku czci pomordowanych w 1970 roku. Za cztery dni siedemnasty grudnia, rocznica ich śmierci.

Idę w kierunku bramy.

Straż robotnicza z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu zauważa koc i torbę.

Przepuszczają mnie bez pytania. Wiadomo, idzie strajkować.

Na sali, która pamiętać będzie tryumf i klęskę "Solidarności" sporo osób. Andrzej Milczanowski, Maria Chmielewska, Zdzisław Kacprzak, Jerzy Korde, Grzegorz Durski, Tadeusz Lichota, Stanisław Zabłocki.

Część z nich pełniła dyżur w Komisji Zakładowej, lub brała udział w rozmowach resortowych w Domu Kultury "Korab".

Gdy teleks przestał pracować, a telefony zamilkły, Lichota, Drewniak, Wojtowicz przenieśli się na teren Stoczni. Domyślili się, że to atak na Związek. Wysłali umyślnego do "Korabia". Urzędnicy resortu zwlekali z podpisaniem końcowych dokumentów. Pan Moskwa (nomen omen) z drwiącym uśmiechem uspakajał.

- Mamy czas do dwudziestej czwartej, a potem zobaczymy kto ma rację.

Milczanowski i przedstawiciele Komisji Zakładowych denerwowali się. Nie wiedzieli co ten pan miał na myśli. To opóźnienie uratowało ich od aresztowania. Było już po północy.

Marian Jurczyk, Stanisław Kocjan, Ryszard Bogacz wracają samochodem z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku.

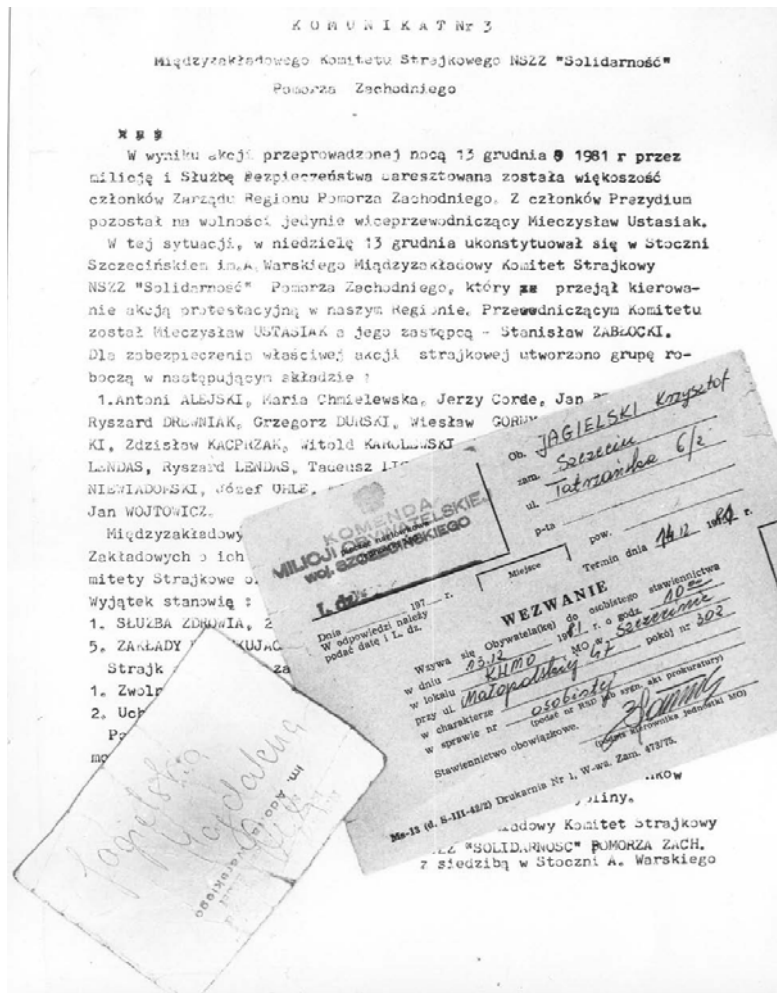
Mieczysław Ustasiak, ściągnięty przez kolegów, o trzeciej rano przybywa do Stoczni.

Nikt nie wie dokładnie, jaki jest los aresztowanych, jaki będzie tych, którzy się schronili w Stoczni. Wielu później przyzna, że bali się rozstrzelania. Na razie są jednak opanowani, nie dają poznać tego po sobie.

Każdy przeżywa osobistą tragedię. Suma tych tragedii stanowi o atmosferze panującej na sali. Widzę na ich twarzach symptomy towarzyszące wszystkim klęskom, żal, strach, przybicie, rozgoryczenie, poczucie beznadziejności.

Cieszymy się, że jest nas tutaj niemała grupka. Z Zarządu Regionu są: Waldemar Ban, Jan Denisewicz, Stanisław Wiszniewski, Wojciech Duklanowski, Maria Zarzycka. Maszyna śmierci widocznie nie była doskonała.

Na stole leżą wydrukowane na powielaczu komunikaty. Numer trzeci podaje skład Grupy Roboczej Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ "Solidarność" Regionu Pomorza Zachodniego. Wśród szesnastki wymienia się także i mnie. Koledzy byli pewni, że przyjdę i umieścili mnie na liście.



Komunikat nr.3 MKS, wezwanie na komendę i przepustka do Stoczni

Mieczysław Ustasiak, najstarszy rangą (zastępca przewodniczącego Zarządu Regionu), obejmuje z urzędu przewodnictwo. Jego zastępcą jest Przewodniczący Komitetu Strajkowego Stoczni, Stanisław Zabłocki.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy wysuwa żądania:

1. zwolnienie wszystkich aresztowanych działaczy Związku
2. uchylenie dekretu o wprowadzeniu stanu wojennego

Sala jest obszerna. Być może znajduje się w niej pięćdziesiąt osób. Niektórzy brali udział w Strajku Sierpniowym. Siadają przy stołach, jak wtedy, na swoim miejscu. Zajmują swoją moralną i bojową pozycję. Teraz gdy jeszcze nic nie wiadomo, gdy Stocznia jest pusta, gdy w każdej chwili może wkroczyć wojsko i ZOMO, pozostaje jedno, demonstracja przeciw bezprawiu. Trzeba mieć odwagę by usiąść przy tym stole, a jeśli nie odwagę, to pełną rozpaczczą stanowczość.

Są też żony aresztowanych. Przychodzą zawiadomić o aresztowaniach, szukają pocieszenia i utuchy. Jest Pani Jurczyk. Marian, Kocjan i Bogacz nie wrócili. Prawdopodobnie zatrzymali ich po drodze.

Zdejmują kożuch i swetry. Bardzo tu gorąco. Torbę z niewielkim zapasem prowiantu

zanoszę do małego pokoiku na zapleczu. Ryszard Drewniak, sympatyczny, dusza chłop, swoją tuszą wypełnia pół pomieszczenia tak, że pomagająca mu Lucyna Plaugo, z ledwością kroi chleb. Oddaję mu co mam i parzę kawę.

Gospodarzem strajku jest Stoczniowy Komitet i on rozdziela między siebie zadania porządkowe, zakwaterowanie, wyżywienie, ochronę Stoczni, transport, przepustki.

My, członkowie Zarządu Regionu, zgodnie ze Statutem, automatycznie przekształcamy się w Regionalny Komitet Strajkowy i przejmujemy zadania kierowania tym strajkiem.

Coraz więcej ludzi odwiedza Stocznnię. Już się rozniosło po mieście, już nawet na szybach tramwajowych przylepiano komunikaty Komitetu Strajkowego. Wielu przychodzi, popatrzy z ciekawością, weźmie parę ulotek i znika. Wielu jednak siada przy stołach. Napływają nowe wiadomości o aresztowaniach.

Nic się specjalnego nie dzieje. Chodzimy po sali, rozmawiamy, pijemy kawę. Siedzę jakiś rozleniwiony, zmęczony. Nie dociera do mnie, że kieruję Regionalnym Strajkiem. Jestem w stanie obezwładniającej niemocy. Wydaje mi się, że poza tą salą nic już nie istnieje.

Przysiada się do mnie Edward Rohatyński z Komisji Zakładowej Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych. Opowiada:

- Razem z członkiem Prezydium, Franciszkiem Skwierczyńskim, dyżurowaliśmy w Zarządzie Regionu. Franek był niespokojny, bo Krystosiak ostrzegł go, że szykuje się jakaś duża prowokacja. Sprawdzał co chwila telefony i teleksy. Śnieg sypał gęsto i wieczorem było go tak dużo, że ruch samochodowy ustał. Gdzieś około dwudziestej drugiej usłyszeliśmy hałas od strony Komendy Głównej MO. Zeszliśmy na półpiętro i przez okno zobaczyliśmy mnóstwo milicjantów kręcących się po podwórzu i przy garażach. To był huk podgrzewanych silników. Samochody opuściły komendę i pojechały w kierunku miasta.

O dwudziestej trzeciej przestały funkcjonować teleksy i telefony. Nie mieliśmy połączenia ze Stocznnią. Zdawaliśmy sobie sprawę, że coś się święci. Znowu zeszliśmy na półpiętro. Ruch samochodów jeszcze większy. W taką pogodę!

O wpół do dwunastej, przerażona portierka przyleciała do nas na górę.

- Przed wejściem pełno milicji, każą otwierać drzwi.

Zeszliśmy na dół. Franek powiedział im, by przyszli w poniedziałek w czasie godzin urzędowania. Zagrozili wyważeniem drzwi.

- Uznamy to jako prowokację przeciwko Związkowi, odpowiedział Franek.

Portierce nakazaliśmy zamknąć się w służbówce i nie reagować na wezwania. Nim doszliśmy na górę, dobiegł nas brzęk tłukącego się szkła. Milicjanci rozbili bramę i wpadli do środka. Otoczyli Skwierczyńskiego, szukali przy nim broni. Oznajmili mu, że jest internowany i będzie zamknięty w więzieniu w Nowogardzie. Opróżnili biurka, a dokumenty zapakowali do worków marynarskich i wynieśli. Do mnie powiedzieli - Rohatyński, idźcie do domu. Trochę się stawałem, ale było niebezpiecznie. Wyszedłem z Zarządu. Na ulicy pełno ZOMO -wców.

Nagle mój wewnętrzny bezwład ustępuje Podchodzę do mikrofonu.

- Proszę Państwa, potrzebni są chętni. Tworzymy dwie grupy. Jedna zajmie się spisem internowanych i aresztowanych. Druga uruchomi system "ABC".

Zgłasza się Andrzej Lipski, pracownik Stoczni. Wyjaśniam mu, co i jak należy zrobić. Będę mu pomagał. Ponownie mówię przez mikrofon:

- Pracują dwa zespoły. Jeden zbiera informacje o aresztowaniach, a drugi organizuje system "ABC". Proszę, by łącznicy zakładowi pobierali materiały strajkowe tylko i wyłącznie przy wskazanym stoliku.

Organizacją wewnętrzną zajmują się stoczniowcy, my musimy myśleć "na zewnątrz".

Jest niedzielne popołudnie, wojna. Brak informacji nie tylko ze Szczecina, ale i z całej

Polski. Nasze działania będą musiały mieć charakter konspiracyjny. Trzeba czekać na rozwój wypadków.

O czwartej trzydzieści rano Zdzisław Kacprzak i Józef Uhle dokonali wspaniałego wyczynu.

Podpłynęli holownikiem do Kapitanatu Portu. Stoczniowiec, który im towarzyszył, pozostał przed budynkiem na czatach. Weszli do pokoju, gdzie mieściła się radiostacja. Zażądali nadania na statki polskie komunikatu Komitetu Strajkowego. Dyżurujący pracownicy Kapitanatu odmówili, wtedy Kacprzak, bluffując, zagroził:

- Na dole jest duża grupa stoczniowców, użyjemy siły. Proszę usiąść i nie przeszkadzać nam. Gdy Służba Bezpieczeństwa będzie was przesłuchiwać, powiedzcie, że zmusiliśmy was. My to potwierdzimy.

Józef Uhle uruchomił nadajnik:

-Uwaga, wszystkie statki polskie. Jak mnie słyszycie?

Statki odpowiadały!

-Uwaga, uwaga! Nadaję treść komunikatu. Komunikat nr 1 Komitetu Strajkowego. Dzisiejszej nocy ogłoszono stan wojenny na terenie całego kraju. W Stoczni Szczecińskiej powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Siły porządkowe wkroczyły na teren biura Zarządu Regionu. Zgodnie ze Statutem członkowie NSZZ "Solidarność" podejmują strajk generalny.

Do pokoju wpadł stoczniowiec.

- Prędko, zwiewamy. W naszym kierunku pędzi kolumna samochodów.

Zbiegli na dół. Wskoczyli na holownik i dosłownie w ostatniej chwili odbili od nabrzeża. Wiadomość poszła w świat. Może nasłuchowe radiostacje duńskie, szwedzkie, niemieckie także przechwyciły nadany komunikat?

Gdy Zdzisław skończył opowieść, wpadł mi do głowy pomysł. Przecież na terenie Stoczni Remontowej muszą być jakieś statki PLO. Radiostacje! Jest połączenie ze światem .

Zdzisław Kacprzak załatwił motorówkę.

Płynę na drugą stronę do Stoczni "Gryfia". Przy nabrzeżu stoi m/s "Świeradów Zdrój".

Wspinam się po trapie. Pytam marynarza wachtowego o radioofficera. Na szczęście jest. Wchodzę do radiostacji. Przedstawiam się i mówię bez ogródek:

- Strajk generalny. Statek podlega Komitetowi Strajkowemu PLO, a także Stoczni Remontowej. Proszę natychmiast uruchomić radiostację. Radio oficer pokazuje osprzęt. Wiele części jest zdemontowanych i zabranych do naprawy.

- Nic nie da się zrobić? - Pytam.

Odpowiada, że nie. Muszę mu wierzyć. Widzę jednak w jego oczach strach. Rozmowa toczy się tak, jakbym przyszedł do niego pożyczyć butelkę piwa, a on mi odpowiada, nie zwracając głowy. Szybko się żegnam. Wychodzę z wielkim niesmakiem.

Po drodze pytam oficera służbowego, czy mają ukaefki. Tak, mają. Proszę o wydanie ich Komitetowi Strajkowemu Stoczni Remontowej. Oczywiście za pokwitowaniem.

Idę do głównej kwatery strajkowej stoczni Gryfia. Ruch tutaj większy, atmosfera bardziej nerwowa.

Przewodniczący Józef Kalemba wyjaśnia, że organizują skromną uroczystość odsłonięcia pomnika Pamięci Grudnia. Może zdążą do godziny dwudziestej. Mają także ślubować walkę do ostatecznego zwycięstwa. Mówię mu o ukaefkach. Dziękuję. Skorzystają z nich

Kapitan m.s. „Świeradów” który przebywał w tym czasie na wolnych dniach w domu, w Gdyni, zostanie potem za to dyscyplinarnie zwolniony!

Nie ma innych statków PLO. Wracam do świetlicy stoczni.

Przewodnicząca Komisji Zakładowej Urzędu Telekomunikacyjnego, Krystyna Lendas i pomagający jej technik z tego przedsiębiorstwa, zakładają specjalną, osobną linię telefoniczną, wychodzącą na zewnątrz Stoczni, bezpośrednio do jednego z prywatnych mieszkań. To na wypadek blokady. Linia jest poza łączami i nie można jej podsłuchiwać. W momencie wtargnięcia ZOMO na salę, niszczy kabel, a telefon chowamy za obudowę kaloryfera.

Krystyna Lendas opowiada, że przed północą ZOMO wpadło na salę łącz Urzędu Telekomunikacyjnego i zdemolowało stację przekaźnikową wartości wielu milionów złotych. Nie wyłączyli, tylko zniszczyli.

Przyszli studenci. Brawo. To bardzo dynamiczni, młodzi ludzie. Wprowadzają ożywienie. Łapią ulotki i na miasto. Kilku siada przy drukarce, inni będą do dyspozycji stolika ABC.

My, "starsi", czuję to po sobie, nie możemy wydobyć się z oszołomienia. Mimo podjętych prób organizacyjnych zdaję sobie sprawę, że jestem kimś innym. Braknie mi polotu i fantazji. Czuję się nagle zmęczony i niepotrzebny. Pozostaje jedno, być do końca przyzwoitym.

Andrzej Milczanowski jest postacią numer jeden. On ma decydujące słowo. Pisze komunikaty, przemawia, apeluje przez radiowęzeł. Wie, że nas zlikwidują, ale twierdzi, że nie można dopuścić do rozlewu krwi. To jest myśl przewodnia tego strajku.

Mieczysław Ustasiak, z natury spokojny, pozostaje w jego cieniu. Nasz protest firmuje tylko swoim nazwiskiem.

Członkowie Zarządu zawodzą, nawet, gdy następnego dnia wspiera nas dziewięć tysięcy robotników.

Milczanowski i Ustasiak podtrzymują konsekwentnie swoją ideę, nie stawiać oporu. Manifestujemy postawę moralną.

Zakłady strajkujące lub te, które chcą przystąpić do oporu, wyczuwają u nas brak zdecydowania, mimo że apelujemy o podjęcie strajku generalnego. Wielu przedstawicielom radzi się: strajkujcie, jeśli są jakiegokolwiek szanse na opór, który nie przyniesie represji. To jest miękka linia. Należy żądać powszechnego strajku, bez względu na cenę.

Nie podjęliśmy żadnej próby koordynacji strajków w poszczególnych zakładach. Ja także ponoszę za to odpowiedzialność. Z góry założyliśmy przegraną. I to sparaliżowało naszą inicjatywę. Mimo wszystko należało szukać dróg do zwycięstwa.

Mamy przed sobą noc, to wiele. Gdy zbieramy się w salce konferencyjnej, pomieszczeniu odgradzonym od świetlicy ruchomymi ścianami, zastanawiamy się, kiedy zaatakuje nas ZOMO. Jest nas niewielu, więc powinno nastąpić to niedługo. Jutro, gdy stawią się do pracy dwie zmiany, będzie to bardziej skomplikowane. Oczekiwanie na aresztowanie obezwładnia nas.

Jest łączniczka z Gdańska! Podrywamy się. Jest wyczerpana napięciem i jazdą dostawczą ciężarówką. Przebyła jednak drogę bez specjalnych przeszkód. Chce zaraz wracać. Tam czekają na wieści od nas.

Gdańsk strajkuje! I dowodzi! Łączniczka przywiozła ulotki i wiadomości. Krajowa Komisja i Lech Wałęsa zostali aresztowani. Zwinęli ich za jednym zamachem, po posiedzeniu Krajówki, w hotelach. Podobno uciekli Frasyniuk i Bujak.

Łączniczka chce wrócić tym samym transportem, ma parę godzin czasu. Opiekuję się nią. Pomaga mi Małgosia Niesobka. Redaguję tekst odezwy do Gdańska. Są kłopoty z przepisywaniem na maszynie. Jak się okazuje, są także przeszkody z załadowaniem samochodu. Łączniczka zostanie do następnego dnia i weźmie udział w spotkaniu z załogą Stoczni. Wyszukuję jej w miarę spokojny kąt, by mogła odpocząć.

W małej salce rozłożyli się studenci z maszyną drukarską. Proszę, by przeszli do innego pomieszczenia. Po pierwsze przeszkadzają, po drugie pewne czynności muszą być zakonspirowane. To ze względu na przyszłe represje.

Nie należy się afiszować. Za poklask, popularność i pamięć u potomnych możemy zapłacić inaczej, jak w Sierpniu. Miarą uznania będą lata więzienia.

Z tych niemiłych medytacji wyrывa mnie Stanisław Wiszniewski. Prosi o pomoc. Idziemy do biura Komisji Zakładowej, znajdującego się w gmachu dyrekcji, poza terenem Stoczni. Pakujemy dokumenty związkowe, z Komisji Zakładowej i z Sierpnia 80, i te z MKR. Trzeba zachować je dla historii. Dźwigamy je na Stocznę, gdzie schowane głęboko, w piwnicach, przeleżą do czasu, gdy będzie je można znowu bezpiecznie ułożyć na półkach.

Jest dobrze po północy. To najodpowiedniejsza pora dla brudnej roboty ZOMO. W znacznym oddaleniu od Stoczni, przy pętli autobusowej, na ulicy Firlika, Emilii Plater pojawiają się gaziki i radiowozy. Czyżby nasze przewidywania miały się sprawdzić?

Napięcie jest nie do wytrzymania. Ubieram się ciepło, zwołuję kilku robotników i udajemy się na obchód Stoczni. Idziemy gęsiego.

Noc jest jasna, gwiazdzista. śnieg skrzypi pod nogami. Cisza. Niesamowita cisza. Suwnice, dźwigi, korpusy statków, bryły budynków, wydają się być zakłętymi rycerzami patrzącymi z zadumą w jasne, granatowe niebo. Tracę poczucie rzeczywistości. Staję się jednym z tych olbrzymów. Przyłączam się do ich wiecznej modlitwy, do ich wiecznego trwania.

Przypominam sobie podobną noc, chociaż tamta była sierpniowa i ciepła. Powstanie Warszawskie. Z okien kościoła na Chełmskiej, patrzę (miałem wówczas osiem lat) na szpital. Właściwie, interesują mnie nadlatujące czarne samoloty. Strasznie wyją obniżając swój lot. Szpital zapada się. Składa się jak domek z moich klocków. Widzę lecące z okien łóżka z chorymi. A potem wielki ruch w kościele. Powstańcy w hełmach biegają między zmęczonymi, leżącymi na posadzce ludźmi. Do szpitala! Ratować szpital!

Z zapadającym zmrokiem opuszczamy kościół. Dźwigam swoją maleńką walizeczkę, są w niej dokumenty ojca. Tak mnie uczył. Alarm bombowy, chwytam walizeczkę. Do piwnicy. Tak zawsze.

Cudowne, gwieździste niebo, zabarwione czerwienią łuny palącej się Warszawy. I ta cisza, niesamowita cisza. Idę z rzeką cierpienia, rozpacz, krzywdy, ludzkiego nieszczęścia. Wylewa się ona szerokimi strumieniami w kierunku Sadyby. O kulach, na noszach, podtrzymywani przez siostry szpitalne, popaleni, ranni ze szpitala. Wielu ich. A potem my, z kościoła, a potem inni z Mokotowa. Ta rzesza rozciąga się, w oczach ośmioletniego chłopca, w nieskończoność, nadając tej nocy epickich i ponadludzkich wymiarów.

Czuję się teraz tak, jakbym nie rozstał się z tą płynącą rzeką ludzką, tylko trwał w niej cały czas, do teraz. Ale coś się zmienia. Przesuwam się do przodu i idę na jej czele. Za mną inni. I bez względu co nastąpi, pochód ten będzie niezmiennie szedł naprzód.

Mogłem spokojnie wracać do świetlicy, która była tym czołem pochodu. I bez względu na to co nastąpi, pochód ten będzie niezmiennie szedł na przód.

Szukam względnie "miękkiego" stołu. Kozuch i ciepłe rzeczy służą jako materac. Przykrywam się januszowym kocem i zasypiam.

Z nastaniem ranka wstępuje we mnie nadzieja. Do stoczni przybywa pierwsza zmiana.

Komitet Strajkowy zbiera się w bocznej salce. Wypraszam wszystkich obcych. Zasuwam ściany, mocuję drutem, a przy wejściu stawiam straż robotniczą. Od tej chwili pomieszczenie jest wyłącznie do naszej dyspozycji. Musimy pracować w całkowitym spokoju. Poza tym nie ulega

wątpliwości, że na sali znajdują się szpicle SB. (co się później potwierdzi). Trzeba się od nich odizolować.

Komitet omawia sprawy organizacyjne i wyznacza spotkanie z dyrekcją Stoczni na godzinę dziewiątą.

Sala główna pełna. Są trójki wydziałowe.

Maria Chmielewska, Tadeusz Lichota i Czesław Gałas wchodzi ze sztandarem Komisji Zakładowej Stoczni. Wstajemy i śpiewamy "Jeszcze Polska nie zginęła".

Mieczysław Ustasiak przewodniczy zebraniu. Przemawia delegatka z Gdańska. Po niej Andrzej Milczanowski, blady z zapadniętymi policzkami, ubrany w granatową robotniczą kufajkę. Mówi mocno, dramatycznie. To świetny mówca. Z twarzy robotników widać, że robi duże wrażenie.

-W sytuacji, gdy w więzieniach całego kraju siedzą najlepsi ludzie naszego Związku, nasi bracia, my nie możemy zostać obojętni. To nam dyktuje serce, to nam dyktuje sumienie, to nam dyktuje fakt przynależności do Związku, to nam dyktuje honor i godność Polaka! Międzyzakładowy Komitet Strajkowy Pomorza Zachodniego zwraca się do was wszystkich o konsekwencję w działaniu. Nie może to być konsekwencja papierowa. To znaczy w tym zakładzie, w tym regionie, z chwilą ogłoszenia strajku, Związek przejmuje pełną władzę! Na was, na nas wszystkich zwrócone są oczy nie tylko mieszkańców regionu, nie tylko społeczeństwa Polski, ale także całego świata. Stocznia Szczecińska jest wielką nadzieją społeczeństwa i o tym musimy pamiętać.

Burza braw. Trójki rozchodzą się na wydziały. Robotnicy nie podejmują pracy.

Kolejka po przepustki blokuje ruch na sali i zakłóca spokój. Proponuję Janinie Trojanowskiej, która nadzoruje ich wydawanie, by przeniosła się piętro niżej. Pozwala to postawić straż robotniczą przy wejściu na salę i ścisłą kontrolę osób.

Po lewej stronie, przy oknach, doktor Michał Kurowski i Małgosia Malinowska szykują punkt pierwszej pomocy. To nie tylko na wypadek ataku ZOMO. Napięcia i wzruszenia są tak duże, że wielu potrzebuje środków uspokajających.

Stanisław Zabłocki, Przewodniczący Komitetu Strajkowego Stoczni i zastępca w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym sprawuje tę funkcję z urzędu. Kończy się zapisem papierowym. Nie odgrywa żadnej roli. Powodem jest zły stan zdrowia. Przebywa, albo w ambulatorium, albo w Przychodni Przyzakładowej.

Żegnamy się z łączniczką. Może dojedzie do Gdańska. Bóg z Tobą! Szerokiej drogi!

Studenci napływają dużą falą. Przynoszą zapasy prowiantowe z Akademii Rolniczej. Proszą, by dać im coś do roboty. Część z nich wspomaga system "ABC". Kolportują drukowane przez nas materiały.

Jest i Redakcja "Jedności": Tomasz Zieliński, Tadeusz Dziechciowski, Barbara Maślanka i inni. Tu, na miejscu, wydają numery 51 i 52, bardzo skromne, jednokartkowe. Ale najważniejsze, że jest ciągłość, że Związek trwa.

Wywołują mnie: - Żona przysła!

Magdalena przynosi materac dmuchany, śpiwór, zapasy prowiantowe i ... wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa. Nie prosi mnie bym wrócił. Wie, że tu zostanę, wie, że są w życiu człowieka wartości, których nie można określić ziemskimi miarami. Są to wartości ponad miłość, szczęście rodziny. Nie wiemy, co nam gotuje los. Może się rozstajemy na długo, a może ... nie będzie źle. Przecież wywróżono nam długą, wspólną podróż. Przytulamy policzek do policzka. To najsmutniejsze chwile w moim życiu. Żegnam się z Magdaleną. Palę za sobą mosty. Nie ma już odwrotu.

Walter Matysiok z Fabryki Aparatury Mleczarskiej szeptem mi o ukrytej dużej ilości broni. Jeszcze w obrębie miasta, a więc przed blokującymi liniami wojska.

A co z amunicją? -Pytam.

Trochę dalej. W głębi województwa. Potrzebny jest samochód ze Stoczni. On podejmie się dostarczenia tego arsenału. A wtedy im pokażemy!

Wołam Andrzeja Milczanowskiego i Mieczysława Ustasiaka. Prowadzę ich w kątek salki, gdzie nie obawiam się posłuchu i informuję o ofercie Matysioka. Wiem z góry, jaka będzie odpowiedź, ale moim obowiązkiem jest ich powiadomić. Może ich plany się odmieniły? Nie. Absolutnie nie.

Matysiok jest zawiedziony. Wiem, że należy do Konfederacji Polski Niepodległej. Przypuszczam, że szykują zbrojny opór.

Zjawia się Tadeusz Hundert. Nie aresztowali go w nocy. Dostał nakaz stawienia się w SB. Tam go ostrzegli przed dalszą działalnością związkową i polecali zameldować się w pracy. Perswadował, zakładowy „anioł stróż” Marian Kłos.

Tadeusz był już w naszym biurze w niedzielę. Było nie naruszone. Wziął najważniejsze dokumenty i schował.

Co robić? -Pyta. -W porcie nie ma statków, a urzędnicy są bardzo wystraszeni.

Ustalamy więc, że ja tutaj reprezentuję Komitet Strajkowy Polskich Linii Oceanicznych. On nie będzie się ujawniał. Chowa plik ulotek za koszulę i wraca do pracy.

Mam pełne ręce roboty. Ludzie mają do mnie zaufanie. Prawdopodobnie popularność zawdzięczam systemowi "ABC" i artykułom drukowanym w "Jedności". Pytanie jest jedno: - czy strajkować? Jeśli zakład ma cokolwiek wspólnego z produkcją żywności, handlem, zaopatrzeniem, odpowiadam nie. W innych wypadkach, zgodnie ze statutem, obowiązkowo.

Ale to nie jest Sierpień 80 roku, kiedy komuniści nie podejmowali odwetowych kroków, a komitety strajkowe mnożyły się jak grzyby po deszczu. Teraz, to jest ryzyko długoletniego więzienia, utraty pracy, życia.

Strajkują: sSocznie Remontowe Parnica i Gryfia, strajkują Polmo, Selfa. Port milczy, waha się.

Na sali przebywa od czterystu do pięciuset osób z zakładów, które nie strajkują. Nie znaleźli zrozumienia wśród pracowników.

Strach jest powszechny. Każdy myśli o sobie. Zapomina się, że w SOLIDARNOŚCI siła. Każdy za swoim biurkiem, przy maszynie chowa "głowę w piasek". Udaje, że nie widzi sąsiada. Strach paraliżuje. Działacze związkowi przychodzą tutaj, by spełnić swój obowiązek moralny, statutowy, patriotyczny. To ostatnia twierdza Związku. Lecz nie każdy to potrafi.

Koło południa wysyłam studentkę do doktora Krzysztofa Pałysa. Pracuje w Szpitalu Kolejowym. Proszę, by poprzez swoje kontakty z kolejarzami załatwił łączność ze Stoczną Gdańską. Kolej nie strajkuje, ma własną sieć telefoniczną. Wyłączenie jej równałoby się samobójstwem dla operacji wojennych.

Po południu rozlega się dzwonek naszego "zewnątrznego" telefonu (który zakładała Krysia Lendas).

Jest Gdańsk!

Milczanowski rozmawia z Przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego, Mirosławem Krupińskim. Stocznia Gdańska trwa jeszcze. Jesteśmy wzruszeni. Polska się broni. Nie rozbito nas doszczętnie. Mimo ścisłej blokady, mamy połączenie! Nie jest tak źle. Potrzeba trochę czasu na zorganizowanie się. Może nas nie zaatakują? Może rozpoczną się rozmowy, przetargi?

Nie!

Nie będzie rozmów, przetargów! W stronę Stoczni, wszystkimi możliwymi ulicami, ciągną kolumny czołgów, skotów, wozów z ZOMO, sanitarek. Żądza władzy i strach przed jej utratą kieruje uzbrojonych po zęby komunistycznych pretorian na bezbronnych robotników. Taktyka walki jest znana, mordują nocą, bez świadków.

Na świetlicy poruszenie. Milczanowski apeluje o zachowanie spokoju.

Stanisław Wiszniewski ponownie zaprasza mnie na małą wycieczkę. Tym razem będziemy chować taśmy nagrane tutaj, na sali, w ciągu tych dwóch dni. Szkoda, by wpadły w łapy żołdaków. Mam być świadkiem. To na wypadek, gdyby mu coś się przydarzyło.

Wchodzimy do samotnie stojącego budynku, w sporej odległości od świetlicy. Pan Stanisław pokazuje miejsce, gdzie chowa kasety. Wracamy. Słuchać łoskot gaśienic, dudnienie silników.

Schodzę z Marią Chmielewską i Grzegorzem Durskim do piwnic pod budynkiem. Idziemy labiryntem korytarzy i przystajemy przed dużymi, pancernymi drzwiami.

- Jeżeli chcesz, możesz się tutaj schować i poczekać, aż ZOMO opuści Stocznnię.

- No, dobrze, ale jak mogę się sam wydostać? Czy ktoś otworzy mi drzwi?

Grzegorz kręci dużym kołem, zasuwają. Otwiera drzwi.

Piwnica jest obszerna. Pomieści wiele osób. Tuż przed wejściem ZOMO do budynku. skorzystają z niej Grzegorz Durski, Maria Chmielewska, Tadeusz Dziechciowski, Stanisław Wiszniewski

Gdy wracam na salę słyszę Małgorzatę Niesobską, czytającą dramatycznym głosem odezwę, transmitowaną przez radiowęzeł, także poza teren Stoczni, tam, gdzie stoją szwadrony śmierci.

- Bracia żołnierze! W tych trudnych dla całego społeczeństwa chwilach, kobiety zwracają się do was, bracia żołnierze, nasi synowie, bracia i ojcowie, nasi kochani chłopcy, prosimy was o nieużycie broni palnej przeciw swoim bliskim. Każdy z was przecież posiada rodzinę, kogoś bliskiego, swoją dziewczynę, która może paść ofiarą. Miejcie serce i litość dla kobiet i dzieci, dla swoich najbliższych. Życie posiadamy tylko jedno. Chrońcie nasze życie, nie używajcie broni i siły przeciw nam.

Potem pełen patosu i żaru, wstrząsający apel Andrzeja Milczanowskiego. Stocznia jest szczelnie otoczona. Widzę przez okno, jak od strony kanału zbliżają się ścigacze wojenne. Omiatają reflektorami budynki.

Lecz co to?! Od nabrzeża stoczni Gryfia odbija prom pasażerski! Nabiera szybkości. Pędzi prosto na jednostki wojenne. Tamte dokonują błyskawicznego zwrotu i pierzchają. To Józef Kalemba, przewodniczący Komitetu Strajkowego Gryfia spieszy nam z pomocą. Może tylko taranować! Nie ma broni, dział. Ma tylko to, co jest najcenniejsze, życie. Nie zastanawia się, używa go!

Na sali nieprawdopodobne napięcie. Takiej masie żelaza i luf możemy odpowiedzieć tylko podniesieniem rąk do góry. Czy to wystarczy?

Godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Telefon.

To Zdzisław Kacprzak. Jest w budynku portierni głównej. Przez radio łączy się ze wszystkimi punktami wartowniczymi na terenie stoczni. Słyszę nie tylko jego głos, ale odpowiadających.

- Krzysztof, woła Kacprzak, weź kartkę papieru i rysuj szkic sytuacyjny, podam ci rozmieszczenie jednostek otaczających stocznję. Sięgam po papier, nanoszę plan ulic w pobliżu Stoczni.

- Brama na Arsenale, przy Fabryce Famabudu, na ulicy Dubois po obu stronach skoty. W środku kolumna wozów szpitalnych, oznakowanych czerwonym krzyżem. Ciągną się aż do

Wałów Chrobrego. Od strony Portowej Straży Pożarnej na Firlika i Nocznickiego pełno transportowych samochodów ZOMO. Na pętli autobusowej, chyba punkt dowodzenia. Pełno gazików MO z wysokimi antenami.

Przekazywane informacje staram się umieścić na szkicu, ale nagle zdaję sobie sprawę, że to bezsens. Po co? Przecież nie będziemy się bronić! Ani atakować! To niepotrzebne. Odsuwam kartkę.

- Ulica Firlika w kierunku Dubois i Emilii Plater wypełniona przez skoty, nie ma mowy, by ktokolwiek się precyzyjnie. Na Hutniczej czołgi! Po lewej stronie skoty podchodzące aż do budynku Dyrekcji. Są tutaj także dwa gaziki. Z jednego, przez megafon nadają wezwania do rozejścia się. Nawołują, by robotnicy nie słuchali awanturników, którzy zawładnęli stocznia, by przerwali strajk. Dają piętnaście minut na rozejście się! Brama Kolejowa na 1 Maja, trzy czołgi. Lufy skierowane w stronę naszej siedziby. Dalej kolumna skotów. W pobliżu kiosku opancerzony wóz, to chyba punkt dowodzenia wojskowego. Plac Stelmacha, ulica Ludowa, okolice Tlenowni, dwa czołgi i dalej przy Stoczni Remontowej oddziały wojska i ZOMO w samochodach transportowych. Dziesiątki! Silniki czołgów, skotów na maksymalnych obrotach. Starają się wywołać psychozę strachu. Ledwo słyszę Kacprzaka.

Przed bramę główną wychodzą dwie kobiety! To Maria Zarzycka i Halina Gaińska! Maria Zarzycka coś krzyczy w stronę gazików. Chcą rozmawiać.

Nic nie słyszę. Przez megafon wojskowy nawołują, że mamy pięć minut czasu.

Kobiety wracają. Przed główną bramą tłum robotników.

Nie słyszę już Kacprzaka, ale w dalszym ciągu jest nagłośnienie.

Nagle krzyk strażniczki: - Brama Arsenалу! Brama Arsenалу! Ruszyły czołgi! Jezu, będą strzelać! Strażniczka milknie, ale po chwili odzywa się: - Zatrzymały się, cofają się!

Wołam: - Nie otwierać bramy!

Brama główna. Krzyczy strażnik .

- Gazy! Gazy! Nic nie widać, ogromna chmura. Co mam robić?

Teraz ja już wrzeszczę, nie panuję nad sobą:

-Co oni robią? Niech pan mówi co oni robią?

Strażnik: - To armatka wodna, ludzie uciekają spod bramy.

- To nie gaz, to para wodna, niech się pan nie boi. - Wołam

Strażnik: - Ruszyły czołgi! Otworzyć bramę?

- Zabraniam, zabraniam, niech łamia, niech burzą, to symbol gwałtu, niech pan ucieka, niech pan ucieka...!

Słyszę straszliwy łoskot niszczonej bramy. Odkładam słuchawkę. Patrę przez okno.

Tłum robotników biegnie do naszego gmachu, wielu wpada do świetlicy. Jest Kacprzak!

Ryglować drzwi! Niech wyważają!

Stalowe mrowie, rycerze mordy, uzbrojeni po zęby, w hełmach, z tarczami, wypełniają plac przed budynkiem. Jest ich coraz więcej, coraz więcej. Od strony nabrzeża, z obydwu stron, pełną kolumny ludzkich termitów. Otaczają budynek. Jesteśmy jak wyspa w morzu nadchodzącej śmierci.

Dokładnie opróżniam kieszenie. Notatki i adresy drę na małe kawałeczki i rozrzucam. Materac, śpiwór i część rzeczy osobistych składam pod ścianą i dołączam kartkę: "Proszę oddać mojej żonie. Krzysztof Jagielski". Do torby wkładam ciepłe rzeczy. Ubieram kożuch, dwa swetry, czapkę futrzaną podarowaną mi przez dr. Teresę Nowotarską. Jestem gotowy. Nie skorzystam z piwnicy. Chcę zostać tutaj, razem ze wszystkimi.

Tupot podkutyh buciorów. Są już na górze.

- Skupić się razem, skupić się razem. Kobiety do środka. Trzymać się za ręce.

Tworzymy zwarty czterystuosobowy bastion ciał ludzkich. Trzask wyważanych drzwi. "Jeszcze Polska nie zginęła..." To nie jest śpiew! To jest szloch, to jest krzyk rozpaczy, to jest modlitwa o ratunek dla Polski, dla nas!

Żołdacy wdzierają się do środka. Otaczają nas potrójnym szpalerem.

Zeznanie ppłk. ZOMO Zbigniewa Trzpisza z dna piętnastego stycznia 1982 roku:

„...Ja do świetlicy wszedłem około dwadzieścia minut po wejściu tam już innego oddziału. W tym czasie jakaś kobieta przemawiała do obecnych w świetlicy, słyszałem jej głos, nie treść, bo panował hałas. Po tym przemówieniu, osoby cywilne odśpiewały hymn. Wszedłem na podium i wezwałem obecnych do opuszczenia świetlicy. Padły głosy, że nie minęła godzina "policyjna", i że na ulicach Milicja będzie biła. Zapewniłem, że osoby, które dobrowolnie opuszczą teren Stoczni nie będą miały żadnych nieprzyjemności z powodu godziny milicyjnej. W tym czasie zauważyłem stojącego obok mnie, znanego mi osobiście, Andrzeja Milczanowskiego i zwróciłem się do niego, że dziwię się, iż jako były prokurator, znając dekret o stanie wojennym i wynikające z niego konsekwencje, robi wodę z mózgu ludziom nie znającym prawa. Podeszedłem do niego i przywitałem się. Andrzej Milczanowski poprosił, że chce zamienić kilka słów z organizatorami strajku (miał na rękawie białą czerwoną opaskę). Wyraziłem zgodę na tę rozmowę. Pozostałe osoby zachowywały się spokojnie. Po około dwóch minutach, podeszedłem do Milczanowskiego i powiedziałem, aby wyszedł ze mną. Wówczas Milczanowski poprosił o zezwolenie na przemówienie do zebranych, na co nie wyraziłem zgody. W tym czasie na salę wkroczyła ekipa śledcza z Komendy Wojewódzkiej MO ubrana po cywilnemu. Z Andrzejem Milczanowskim udałem się przed świetlicę, gdzie został umieszczony w samochodzie "Więźniarce". Milczanowski schodząc ze mną powiedział: "Jakim prawem Polak Polakowi gotuje takie historie?" Nikogo więcej z obecnych na świetlicy nie znałem.

Andrzej Milczanowski był pierwszym aresztowanym. Kobieta, która przemawiała to Janina Trojanowska. Grupa rozmawiająca z Milczanowskim: - Lichota, Ustasiak, Jagielski, Waligórski, Denisewicz.

Postanowiliśmy zakończyć strajk i nie stawiać oporu.

Podpułkownikowi ZOMO Trzpisowi należy przypomnieć, że nie powiedział prawdy w czasie zeznania. Zapomniał dodać, że powiedział wtedy: **Daję słowo honoru oficera, że każdy może opuścić Stocznę i nie będzie miał żadnych nieprzyjemności z powodu godziny milicyjnej.** Słowo honoru oficera! Czy oficer ZOMO ma honor?

Ekipa śledcza Służby Bezpieczeństwa na posterunku. Pierwszeństwo mają ci, których nazwiska są wyczytywane. Krzysztof Jagielski!

Magdalena i Tomasz nie mogą spać. Od strony Stoczni łuna, głośnie dudnienie. Nagle jamniczka zeskakuje z fotela i biegnie do drzwi balkonowych. Strasznie wyje. Nie mogą jej uspokoić. Jest po północy.

Krzysztof Jagielski! - Dowód osobisty. - Podaję. Podchodzi do mnie nasz zakładowy esbek, Marian Kłós. Wyprowadza mnie na klatkę schodową. Pod ścianami, z obu stron, wzdłuż schodów, ramię przy ramieniu, żołdacy ZOMO. Nie ma szansy na ucieczkę. Kłós zwraca się do mnie:

- Będzie się pan zachowywał poprawnie, czy mam nałożyć kajdanki?
- Proszę się nie obawiać, zejdę posłusznie.

Po drodze mówi: - Po co się pan tutaj pchał? Nie mieliśmy pana aresztować. No, ale teraz to już za późno!

Podchodzimy do kibitki. Jak okiem sięgnąć setki zomowskich pretorianów. Drzwi zatrzasują się za mną. W środku Małgorzata Malinowska, Andrzej Milczanowski, Ewaryst Waligórski, Jan Denisewicz, Wojciech Duklanowski, Witold Karolewski. Stan ten wkrótce uzupełnią Tadeusz Lichota i Mieczysław Ustasiak.

Przez szpary wentylatorów widać światła Stoczni. Silnik samochodu pracuje. Jest ciepło. Milczymy. Jestem potwornie zmęczony. Wciąż nie ruszamy. Słyszę podniesione głosy przy naszej więźniarce. Rozpoznaję Zdzisława Kacprzaka. Otwierają się drzwi.

- Czy słyszycie mnie? - Pyta Zdzisław.

- Tak, tak.- Przekrzykujemy się.

- Moje nazwisko Kacprzak. Znacie mnie.

- Tak, tak!

- Załoga stoczni chce znać wasze nazwiska, podawajcie, będę notował:

- Denisewicz, Waligórski, Lichota, Malinowska, Jagielski, Milczanowski, Duklanowski....

Przerywa nam łoskot zamykanych drzwi. Ożywiliśmy się. Dlaczego to właśnie Kacprzak sprawdza kto jest w środku? Promyk nadziei. Nadśluchujemy. Wciąż słyhać szum głosów.

Zdzisław Kacprzak później opowie:

- Mojego nazwiska nie wywołali. Wśród milicjantów zauważyłem znajomego kapitana z Komendy MO Nad Odrą. Często mieliśmy okazję spotykać się służbowo. Pracowałem w Dziale Gospodarki Materiałowej. Kradzieże były na porządku dziennym. Przywitałem się z nim i zaczęliśmy rozmawiać o wydarzeniach dnia. Wyprowadzali właśnie jako ostatniego Ustasiaka i Lichotę. Oficerowie ZOMO opuszczali salę. Mój Kapitan także. Dostrzegłem szansę wydostania się. Rozmawiam z nim dalej i wychodzę z całą grupą. Udało się.

Robotnicy opuścili wydziały i znajdują się na zewnątrz. Nieprzebrany tłum. Takiego jęku i głosu rozpaczy nie notowano w dziejach ruchu robotniczego. Stałem na schodach.

Z lewej strony trzy budy z ZOMO, za nimi dalsze ze znakiem czerwonego krzyża i karetki pogotowia. Z prawej gazik z wysoką anteną. Wokół budynku poczwórny szereg zomowców. Tysiące, tysiące robotników, aż po Magazyn Farb i Lakierów i nową szatnię wydziału W7. Od strony wody, kolumna skotów i samochodów. Z tamtej strony napływa nieprzerwanie strumień ZOMO. Między budynkiem Głównego Dyspozytora a Kotłownią luka. Stąd nadciągają stoczniowcy. Skandują:

- Gestapo, gestapo, nie oddamy, nie oddamy ich, precz ze Stoczni!

Tłum napiera i wpycha mnie w lukę pomiędzy zomowcami. Jestem w środku, wśród robotników. Gwizdy, krzyki, uniesione pięści. "Jeszcze Polska nie zginęła", a gdy skończyli, rozległ się straszny krzyk, rozdzierający, mrozący krew w żyłach:

- Gestapo, gestapo!

Od strony nabrzeża, ZOMO napiera tarczami, wchodzi w głąb robotników i rygluje lukę. Jesteśmy otoczeni.

Głos z gazika: - Wasz opór jest bezskuteczny, rozejść się.

Zagłusza go "Boże coś Polskę".

Słyszę, jak dowódca ZOMO wydaje rozkazy:

- Formuj się, krokiem naprzód marsz, kolumna marsz.

Formują nowy szyk, otaczają więźniarki. Od nabrzeża wciąż nowe posiłki ZOMO wdzierają się między robotników i rozdzielają ich. Wypchnięto mnie na drogę do Magazynu Farb i Lakierów. Między magazynem 105 i nową szatnią, za węglami, kryli się żołnierze.

Do grupy robotników, w której ja także byłem, podeszło trzech uzbrojonych żołnierzy. Jeden z nich zapytał:

- Kto z was jest z Komitetu Strajkowego?

Chwila ciszy.

- On jest z Komitetu. - Krzyczy ktoś i pokazuje na mnie.

Nogi się pode mną uginają, błedną. To koniec. Robotnicy rozstąpili się i wokół mnie zrobiło się luźno. Podeszedł do mnie oficer, podpułkownik, niskiego wzrostu, w polowym mundurze, z pistoletem za pasem i z raportówką. Zrobiło mi się gorąco. Nogi uginają się tak, że wydaje mi się, iż jestem niższy od oficera.

- Jestem zastępcą dowódcy Garnizonu Szczecin (nazwiska nie słyszę).

- Nazywam się Zdzisław Kacprzak i jestem członkiem Komitetu Strajkowego.

- Proszę podać przyczynę tego zgromadzenia.

- Przyczyna jest złożona, nie tylko jedna.

Ktoś z robotników krzyczy: - Aresztowali naszych!

- Rozmawiam tylko z waszym przedstawicielem.

- Panie pułkowniku. Oficer dowodzący oddziałami ZOMO i całą akcją tu na Stoczni, dał słowo honoru oficera, że nikogo nie zatrzymają, jak opuszczą salę. Niestety, kilku z nas aresztowano i umieszczono w więźniarkach. Stoczniowcy to widzieli, teraz nie pozwalają na wyjazd samochodów.

- Gdzie jest dowodzący oddziałami ZOMO?

- Tam, w gaziku z wystającą anteną.

- Panie Kacprzak, proszę o umożliwienie mi przejścia. Chcę rozmawiać z dowództwem ZOMO.

Stoczniowcy rozstępują się. Podchodzimy do szeregów ZOMO. Skryci są za tarczami. Stoją jak zabetonowani.

Jeden z żołnierzy krzyczy: - Przejście dla dowódcy!

Nie drgną.

Podpułkownik oznajmia:

- Jestem pułkownikiem Wojska Polskiego, zastępcą dowodzącego. Rozkazuję zrobić przejście!

Nie drgną.

Wtedy dwóch ubezpieczających żołnierzy sięga po krótkie karabinki.

Stojący z boku robotnicy żartują: - Panie pułkowniku nie widzi pan, że to ZOMO. Oni nic nie rozumieją.

Ktoś inny mówi: - Zdjąć im z łbów kaski, to usłyszą.

Rozlegają się śmiechy, gwizdy. Następuje odprężenie. Tłum robotników zaczyna falować. Powoli, jak po sztormowa fala, ale jeszcze o sile burzy. Nacisk tysięcy ciał jest miażdżący. Szeregi ZOMO pękają.

Dochodzimy do gazika. Wychodzi z niego kapitan ZOMO. Podpułkownik melduje się.

- Chcę rozmawiać z głównodowodzącym, mówi rozkazująco.

- Nie widzę takiej potrzeby. Tutaj ja nim jestem.

- Jeżeli tak, to otwórzcie więźniarki. Chcę zobaczyć kto jest w środku.

- Nie zgadzam się. To jest nasza sprawa.

Wokół nas zacieśnił się krąg zomowców.

- Widzicie, co się dzieje. Zawiadomcie głównodowodzącego, że czekam tu na niego i chcę z nim rozmawiać. To jest rozkaz. Rozumiecie!

-Rozkazy wydaje mój dowódca. Możecie iść do niego sami. Jest tam na górze, w świetlicy. Odwraca się i wsiada do samochodu.

Niespodziewanie podchodzi do mnie dr Michał Kurowski. Cieszę się, że nie będę sam

- Chodź, Michał, na górę. - Mówię.

Przyłącza się do nas nieznany mi stoczniovec. Idziemy schodami na drugie piętro. Wewnątrz pełno zomowców. Wchodzimy do świetlicy. Otaczają nas i prowadzą do dowódcy. Patrzę na zegarek, pierwsza i pięć minut. Podpułkownik wita się z majorem. Ten pokazuje na nas. Oddalają się.

Rozglądam się po sali. Wielu funkcjonariuszy przeszukuje każdy kąt. Są bardzo zapracowani. Nie pozwalają zbliżyć się do siebie. Znalezione rzeczy znoszą na jedno miejsce.

Wraca podpułkownik.

Nie ma mowy o kontroli więźniarek.

Trzeba znaleźć jakiś sposób by przekonać dowódcę ZOMO. To jest konieczne, mówię do niego.

Podpułkownik podchodzi jeszcze raz do majora.

Słyszę: -Odmawiam. Jeszcze raz powtarzam. - Odmawiam! Nie będę z wami dyskutował.

Kierujemy się do wyjścia. Podpułkownik zatrzymuje się przy ścianie oblepionej plakatami i rysunkami. Przygląda się, kiwa głową. Zrywa jeden, potem drugi i chowa do kieszeni. Z okna chce zebrać leżące ulotki.

Major krzyczy: - Tego nie wolno robić! To są dowody!

- Ja też mam do nich prawo. - Odpowiada podpułkownik.

Major krzyczy rozwścieczony: - Proszę się tutaj więcej nie kręcić! Zrozumieliście?!

Podpułkownik zwraca się do mnie: - Wychodzimy.

-Co powiem ludziom? - Pytam.

Wychodzimy z niczym. Widzę, że pułkownik jest błądy, ociera pot z czoła.

Ponownie pytam: - To "oni" tak zawsze rozmawiają z "wami"?

Wyszliśmy z budynku. ZOMO przepuszcza nas. Robi się cisza. Robotnicy chcą wiedzieć co załatwiliśmy.

Ktoś krzyczy: - Nie oddamy ich! Tysiące ust powtarza. - Nie oddamy ich, nie oddamy ich! Chcemy nazwisk aresztowanych!

Zwracam się do podpułkownika: - Musimy coś zrobić!

Ludzie znowu śpiewają "Jeszcze Polska nie zginęła". Stajemy na baczność. Czapki z głów.

Ruszamy w kierunku budynku. Na schodach spotykamy majora w otoczeniu oficerów ZOMO.

- Żądam otwarcia samochodów! - To podpułkownik.

- Kategoriecznie nie! - Odpowiada major.

- Złamał pan dane słowo honoru, teraz my domagamy się ujawnienia aresztowanych, chcemy spisać ich nazwiska i podać zgromadzonym robotnikom.- Zwracam się do majora.

- Jakim prawem odzywacie się do mnie! A w ogóle jak to się stało, że nie jesteście aresztowani? W tym momencie mówi mi do ucha Michał Kurowski:

- Panie Zdzisławie, niech pan da spokój, zabiorą i nas.

- Ja mu dałem upoważnienie, wyjaśnia podpułkownik.

Oraz zgromadzeni tu stoczniovecy. - Dodaję.

Major milczy.

- Proszę umożliwić mi skorzystanie z waszej radiostacji. - Mówi podpułkownik.

- Pan chyba żartuje?! Idźcie do swojej!

- Żądam wykonania tego!

- Możecie sobie żądać!

Pomyślałem sobie: Ładne rzeczy. Stan wojenny ogłasza generał, a wykonawcami są oprawcy.

- No jak, zgadzacie się na ujawnienie nazwisk? - Naciska podpułkownik.

- Nie, nie zgadzam się. - Major pozostaje nieugięty.

Major chyba chce użyć siły przeciwko nam. Dlatego oświadczam:

Pan, panie podpułkowniku, będzie świadkiem tego, co się tutaj za chwilę wydarzy. Proszę popatrzeć na stoczniovców.

Major krzyczy: - Spisujcie sobie, kogo chcecie. Daję wam 5 minut.

Pomyślałem, że Major zmiękł, ale widzę, że po cichu wydaje swoim oficerom jakieś polecenia. Jeden podchodzi do nas i mówi

- Słyszeliście? Macie 5 minut!

Szukam gorączkowo papieru. Jeden z żołnierzy wyrywa kartkę z raportówki. Kurowski podaje mi ołówek. Podchodzimy do więźniarek.

- Wchodźcie i spisujcie.- Przyzwala kapitan ZOMO

- Panie Zdzisławie niech pan tam nie wchodzi. Już Pan nie wyjdzie! - Ostrzega mnie Michał Kurowski.

Trzęsę się jak galareta. Nie wiem od czego zacząć.

- Jestem Zdzisław Kacprzak. Znać mnie? Słyszę wiele głosów: - Tak, tak.

Kapitan ZOMO zatrzaskuje drzwi.

A teraz do drugiego wozu. - Domaga się pułkownik.

- Wystarczy. W innych nie ma nikogo. - Mówi Kapitan.

- Rozlegają się głosy stoczniovców: - Tam są zamknięci! Widzieliśmy!

- Chcemy znać również ich nazwiska. Przecież to zostało ustalone. - Mówię

Kapitan ZOMO uchyla drzwi do połowy. Słyszę głosy ze środka: - Trojanowska, Drewniak, Lendas, Niewiadowski..... Kapitan ZOMO zatrzaskuje drzwi. Idziemy do trzeciego wozu.

Kapitan ZOMO zagradza nam drogę. - Pięć minut minęło, koniec waszego cyrku. Ani kroku dalej!

Wracamy. - Oznajmia pułkownik.

Szukam Michała Kurowskiego. Pytam żołnierzy. Jeden z nich odpowiada, że wezwany został do nagłego wypadku.

Idziemy pośród formacji ZOMO. Unoszę wysoko kartkę. Robotnicy uciszają się. Odczytuję nazwiska. Powtarzają je dalej tak, aby wszyscy wiedzieli.

Ktoś krzyczy: - Ale tam jest ich więcej!

Tysiące ludzi skanduje:- Gestapo, gestapo, ZOMO, ZOMO, gestapo!

Staram się przekrzyczeć ludzi.

-Proszę, byśmy wykonali decyzję Komitetu Strajkowego i rozeszli się do domów. Nie może przelać się krew. Nasze ręce są czyste, wolne od przemocy, nigdy nie byliśmy uzbrojeni. To oni nas zaatakowali. Nie zgadzamy się ze stanem wojennym. Mówimy "nie" zbrojnej i perfidnej napaści na Stocznię. Nadal będziemy żądać wypuszczenia internowanych. Nie ma siły, która by zniszczyła Związek. Opuścimy Stocznję w spokoju. Czujemy ból w naszych sercach. Nie wiemy, co może nas spotkać jutro, ale pamiętamy, że dzień dzisiejszy nie jest ostatnim dniem walki. W domach czekają na nas rodziny.

Rozlega się "Jeszcze Polska nie zginęła".
Podpułkownik z żołnierzami odchodzi w kierunku bramy.
Oddziały ZOMO otaczają szczelnym pierścieniem więźniarki. Samochody ruszają. Jest
Godzina druga piętnaście".
Tyle relacji Zdzisława Kacprzaka z okresu gdy byliśmy zamknięci w więźniarce.

Samochód drgnął. Rusza. Przystaje. Znowu rusza. Słyszymy straszliwy krzyk robotników:
- Gestapo, gestapo, oddajcie ich!
Potem głosy słabną. Jedziemy szybciej. Wyjechaliśmy chyba już poza teren Stoczni.
Dokąd?